



Demonstracja
w Gdańsku,
maj 1982 r.

Dziś, kiedy Donald Tusk otwiera nowy rozdział swojej niezwyklej politycznej biografii, chcielibyśmy – jego własnymi słowami – przypomnieć rozdział pierwszy.

W 1993 r. wspólnie z Janiną Paradowską opublikowaliśmy książkę „Teczki liberałów”, z oczywistych względów już praktycznie niedostępną. To była pierwsza próba opisu pewnej niewielkiej grupy gdańskiej opozycji, która u zarania wolnej Polski stała się jednym z najbardziej znaczących środowisk politycznych. Zarejestrowaliśmy wielogodzinne wywiady z kilkoma czołowymi działaczami Kongresu Liberalno-Demokratycznego: świeżo zdymisjonowanym premierem Janem Krzysztofem Bieleckim, ale także m.in. z Januszem Lewandowskim, Pawłem Śpiewakiem, Jackiem Merkle, Andrzejem Zarębskim.

Wśród naszych rozmówców był oczywiście nowy szef KLD, po raz pierwszy wybrany do Sejmu 35-letni Donald Tusk. Nikt nie mógł przypuszczać, że akurat ten młody człowiek będzie kiedyś ogłoszony (zrobił to właśnie serwis Politico) „najbardziej wpływowym politykiem Europy” i po raz trzeci zostanie premierem Polski. Ten chłopak na zdjęciu z 1982 r. jest od dekad centralną postacią polskiej polityki. Skąd przyszedł? Jaką drogą?

Wybrane zapiski z „Teczki liberałów” uzupełniam w nawiasach drobnymi didaskaliami.

JERZY BACZYŃSKI

Droga Tuska

Spisane przed 30 laty fragmenty opowieści o sobie debiutującego w polityce Donalda Tuska.

Moja rodzina

Przez całe swoje dzieciństwo i wczesną młodość miałem dziwną sytuację: byłem z polskiej rodziny używającej gdańskiej niemieczyny. To taki dziwny język, w którym były naleciałości i holenderskie, i polskie, kaszubskie, rosyjskie, i portowy niemiecki, specyficzny wyłącznie dla Gdańska. Ja się wychowałem w atmosferze tego języka, moja mama, dopiero mając 11 lat, uczyła się polskiego; w rodzinie, której korzenie ze wszystkich możliwych stron są kaszubskie.

W Gdańsku przed wojną i w czasie wojny żyło 800 tys. takich ludzi, po wojnie zostało niewiele ponad 2 tys. Mówię tu o autochtonach, a nie o Polonii gdańskiej. Mieszkaliśmy w dużej czynszowej kamienicy z ogromnym podwórkiem, a ja byłem jednym „stąd”, czyli z Gdańska. Przy tym ja czułem się absolutnym narodowym Polakiem: jak hymn, to łyż w oczach. Z nami, dziećmi, rodzice rozmawiali tylko po polsku, przechodzili na niemiecki, gdy chcieli coś ukryć [ojciec Donald senior zmarł w 1972 r., gdy Donald miał 15 lat. Syn uczył się niemieckiego – i to ze słabym efektem, jak twierdzi – dopiero na studiach].

Co do mojej rodziny, to decyzja pozostania w Gdańsku była całkowicie naturalna. Mój dziadek np. był przed wojną piłkarzem; bronił bramki Gedanii – to był polski klub w Wolnym Mieście

Gdańsku, którego zresztą wszyscy piłkarze mówili po niemiecku... Drugi dziadek, polski kolejarz, po wojnie znany lutnik, został aresztowany przez gestapo już 2 września i przeszedł wszystkie możliwe perypetie wojenne, w tym obóz koncentracyjny [chodzi o Józefa Tuska, więźnia obozu koncentracyjnego w Stutthofie, przymusowo jako obywatel Rzeszy wcielonego do Wehrmachtu w sierpniu 1944 r., zbiegłego do armii alianckiej w październiku 1944 r. O tej historii Donald Tusk dowiedział się dopiero w 2005 r., kiedy sprawa „dziadka z Wehrmachtu” została wykorzystana przez Jacka Kurskiego w kampanii prezydenckiej].

Dziadkowie nie mieli wątpliwości, że po koszmarze wojny wracają swoi, czyli Polacy. Dziś mało kto pamięta, że w Gdańsku i na Pomorzu niezostanie volksdeutschem to była prawie pewna śmierć albo Stutthof i ciągle upokorzenia. Moja cała rodzina jakoś to przetrzymała. Jak przyszli Polacy i zobaczyli, że tu są gdańszczanie, a dla nich gdańszczanie to byli Niemcy, zaczęły się szykany: potracili mieszkania, trafili do dużo gorszych miejsc. Dla tych, którzy wykazali tyle odwagi, by przeżyć w Gdańsku wojnę i zdecydować się na polskość po wojnie, był to dramat.

Ja dopiero gdy miałem 21 lat, dowiedziałem się, na czym polega moja odmienność. Lech Bądkowski [pisarz, rzecznik Solidarności] powiedział mi, że nazwisko Tusk jest kaszubskie i nazwisko Dawidowski, panińskie mojej matki, też jest kaszubskie. I że w rodzinie mam Jeżewskich, a to wszystko są Kaszubi... Stąd się wzięła moja późniejsza aktywność w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim. W Zrzeszeniu robiono zresztą dość szczegółowe badania socjologiczne i np. ze zdziwieniem stwierdzono, że większość stoczniovców to Kaszubi. Później robiono badania na całym Pomorzu Gdańskim i okazało się, że 300 tys. ludzi identyfikuje się z kaszubskością.

Grudzień

W grudniu 1970 r. miałem 13 lat. Mieszkalem bardzo blisko stoczni. Chodziłem wtedy do 7 klasy szkoły podstawowej, która przylegała do pierwszej bramy stoczni, 90 proc. dzieci to były dzieci stoczniovców. Po szkole codziennie łąziłem 8–9 godzin po mieście, aż do tej środy, kiedy padły pierwsze strzały. To mi wystarczyło, żeby sobie wyrobić opinię na temat władzy, komunistów, milicji. To, co widziałem, było porażające i zostało mi w głowie na zawsze.

Widziałem, jak stoczniovcy oblewali czołg benzyną i podpalali, a w środku byli żołnierze; widziałem jak z helikopterów strzelali do ludzi. Ale widziałem też, jak z rozbitego sklepu sportowego, na tyłach Komitetu Wojewódzkiego w Gdańsku nad Radunią, wyrzucano piłki i pływały one po rzece. Ja pochodziłem z rodziny, której nie było stać na kupno piłki. Patrzyłem na te dziesiątki piłek pływających po Raduni – i to było dla mnie wstrząsające, chociaż obok płonął komitet.

Pamiętam też pierwszy dzień wydarzeń grudniowych, kiedy wieczorem pod naszym domem szło ze 200 tys. ludzi w stronę KW, śpiewając Międzynarodówkę, Warszawiankę. To była taka chwila, kiedy łyż leca, dreszcze przechodzą... Dla każdego, kto w Gdańsku mieszkał i angażował się w działalność opozycyjną, Grudzień 1970 r. miał fundamentalne znaczenie. To nie był Radom, to była zupełnie inna skala wydarzeń, biorąc pod uwagę liczbę zabitych i poszkodowanych. W Gdańsku nie było praktycznie rodziny, która nie byłaby jakoś dotknięta przez wydarzenia grudniowe.

Solidarność

W 1977 r., wkrótce po rozpoczęciu studiów na Wydziale Historii Uniwersytetu Gdańskiego, po raz pierwszy wziąłem udział w zorganizowanej akcji przeciwko władzom PRL. Po tragicznej śmierci krakowskiego studenta Stanisława Pyjasa w kilku ośrodkach akademickich powstały Studenckie Komitety Solidarności. U nas, w Gdańsku, tworzyli je głównie studenci historii i filologii polskiej.

Poprzez Bogdana Borusewicza w sposób naturalny doszło do spotkania grupy studentów, która zakładała ten SKS z grupą robotniczą, w której już byli Wałęsa, Gwiazda, Walentynowicz, Borowczak, w sumie kilkunastu robotników z kilku zakładów. Oni udawali, że ich interesują wykłady prowadzone przez studentów, myśmy udawali, że nas interesują problemy strajkowe i bhp. Ale wystarczyło cierpliwości w tym udawaniu.

Jedno z tych spotkań szczególnie utkwiło mi w pamięci. Odbywało się w dużej sali w akademiku, było około 120 osób, sala nabita do oporu. Borusewicz, który prowadził zebranie, zagaił: Witam państwa na spotkaniu z Adamem Michnikiem. Niestety,

Adam nie mógł dojechać – aresztowano go na dworcu. W związku z tym Donald Tusk coś tu nam powie o legendzie Piłsudskiego, bo pisze taką pracę magisterską. Usłyszałem jęk zawodu. Taki był mój prawdziwy debiut w opozycji.

Borowczak i Wałęsa opowiadali o przegranym strajku w energo- czy elektromontażu i o możliwościach ponownego wzniecenia strajku. Mogę się mylić, ale to był chyba marzec 1980 r. Widać było, jak z miesiąca na miesiąc rośnie napięcie, że zbliża się jakaś nowa konfrontacja z władzą.

Sierpień 1980 r., serio, w sensie politycznym, zaczął się dla mnie dopiero ostatniego dnia strajku, kiedy zebraliśmy się w grupie 8–10 osób pod bramą stoczni i uznaliśmy, że trzeba jakoś wesprzeć od strony studenckiej to, co się dzieje. Pojawił się pomysł założenia organizacji studenckiej, siostrzanej dla Solidarności. 31 sierpnia spotkaliśmy się późnym popołudniem na Przymorzu i tam powołaliśmy nieformalny komitet założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich [byli w nim m.in. nieżyjący już dziś

przyjaciele Tuska – Maciej Płażyński, Andrzej Zarębski, zmarły niedawno pisarz Paweł Huelle]. Kiedy NZS powstał, ja się wyłączyłem, bo przecież już byłem po studiach i właśnie dostałem pracę w Wydawnictwie Morskim. Od tego momentu zaczyna się też moja bardziej uporządkowana działalność polityczna.

Ponieważ jakoś byłem identyfikowany z opozycją, więc kiedy w wydawnictwie odbywały się wybory do komisji zakładowej Solidarności, zostałem przewodniczącym. Po dwóch miesiącach pracy. Co ważniejsze, spotkałem wtedy Lecha Bądkowskiego [pisarz, rzecznik komitetu strajkowego], który już po zakończeniu strajku zamówił u mnie tekścik do „Samorządności”. To była mała rubryka w oficjalnym „Dzienniku Bałtyckim”, taka pierwsza „gazeta” solidarnościowa. Miałem napisać o NZS. Bardzo się ucieszył, że trafił się taki, co w miarę poprawnie układa zdania po polsku, i zaproponował mi stałą współpracę. Tak zostałem członkiem zespołu „Samorządności”.

Pamiętam, że pierwszy mój poważniejszy artykuł był o potrzebie powrotu w Polsce do kapitalizmu. Nawet taki rozsądny facet jak Bądkowski miał straszne wątpliwości. Bardzo długo ►



Donald Tusk jako uczeń I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Gdańsku, lata 70.

► perswadował mi, żeby nie używać słowa kapitalizm: wolny rynek, prywatna własność, normalność gospodarcza – takie eufemizmy. Docierały wówczas takie sygnały z grona ekspertów Solidarności, że dlatego mówimy o Rzeczypospolitej Samorządnej, „modelu jugosłowiańskim albo węgierskim”, bo nic innego nie przejdzie. Znaczący, że to nie jest optimum, ale mimikra.

W parę osób uznaliśmy wtedy, że Solidarność Solidarnością, no ale trzeba też mieć coś własnego. Tak pojawił się pomysł stworzenia pisma „Motywy”. Wszystko robiliśmy sami: przepisywanie na maszynie, robotę na wałku, na matrycach. Przygotowywaliśmy nasze własne teksty, przedruki, tłumaczenia – już liberalne, konserwatywno-liberalne, powiedziałbym. Ten nasz ówczesny liberalizm był, do jakiegoś stopnia, radykalnym negatywem PRL-u. My nie byliśmy robotnikami. Nas związkowość nie interesowała. Szukaliśmy czegoś innego.

Byliśmy grupą, która odnalazła się poprzez fakt niechęci do ważnego dla gdańskiej opozycji Ruchu Młodej Polski i do endecji (a wtedy RMP, czyli środowisko Aleksandra Halla, było nieporównanie bardziej endeckie niż później jego Partia Konserwatywna). Irytowały nas ich poglądy. I był zapewne jeszcze jeden element, może nie zawsze do końca uświadomiony – łączyła nas pewna niechęć do Warszawy, bo opozycja warszawska była przecież taka socjalistyczna i KOR-owska. Może więc nasz liberalizm był po części przekorną reakcją na Solidarność, RMP, KOR? Jestem przekonany, że zbieg okoliczności odgrywa ogromną rolę w historii polityki, i mam wrażenie, że „gdański liberalizm” ma swoje źródła w koincydencji towarzyskiej, w tym, że pewni ludzie spotkali się w odpowiednim momencie.

Nasze pierwsze lektury liberalne szokowały nas prostotą. Nie trzeba było niczego wymyślać. Wszystko wydawało się naturalne i oczywiste. Świadomość tego, jak się żyje na Zachodzie, była w Gdańsku nieporównanie wyższa niż w jakimkolwiek innym mieście w Polsce. I ta oczywista wiedza, że na Zachodzie jest lepiej, nałożyła się na jakąś wstępną próbę refleksji: dlaczego jest lepiej? Nie pamiętam, w jakim momencie, ale na pewno przed stanem wojennym, dokonaliśmy odkrycia, że tam jest lepiej nie tylko dlatego, że nie ma sowieckich czołgów, ale że jest własność prywatna, jako najlepszy gwarant wolności.

Stan wojenny

Mimo ogromnej pracy Bądkowskiego nie udało mu się wypełnić ze mnie zamiłowania do zadymy. Wszystkie kryzysy 1981 r. były dla mnie źródłem nadziei, że przyjdzie taki moment, kiedy damy „czadu”. 13 grudnia, niedziela, około 11 rano włączyłem radio, potem telewizję. Nic nie grało. Przyszła sąsiadka z dołu i mówi, że bym się gdzieś zakopał pod ziemię, bo jest stan wojenny. W pierwszym momencie ucieszyłem się: teraz dopiero zawalczymy! Było w nas jakieś dziwne poczucie potęgi, złudne zresztą, jak się potem okazało. Afganistan, Ameryka, papież... Co oni w tej sytuacji mogą nam zrobić? Jedynym problemem dla mnie i kolegów było to, że Solidarność mędrkuje, a przecież komuny już nie ma... No i nagle komuna zapukała do drzwi.

Kiedy tylko dowiedziałem się, że jest stan wojenny, pojechałem do MKZ. Tam powiedziano mi, że jest próba zorganizowania

strajku w Stoczni Gdańskiej. Zebrałem kolegów i wieczorem poszliśmy do stoczni. Jeszcze nie była obstawiona. Okazało się jednak, że strajk jest raczej umowny. W nocy, pamiętam, pojechaliśmy do kolegi, o którym wiedzieliśmy, że ma bilet do wojska. Ponieważ w pierwszych komunikatach podawano, że kto ma bilet i nie zgłosi się natychmiast do służby, zostanie rozstrzelany, kazaliśmy mu jechać do jednostki. W poniedziałek rano znowu poszliśmy do stoczni – z pełnym przekonaniem, że przyjdzie nam zginąć – i siedzieliśmy aż do jej pacyfikacji. Kilkudziesięciu osobom, w tym mnie, udało się uciec tuż przed szturmem i w ten sposób uniknąć aresztowania. Gospodarz domku, w którym wynajmowaliśmy z żoną pokój, powiedział mi, że podczas mojej nieobecności przyszło trzech facetów i dopytywali się o mnie. Prewencyjnie przez kilka dni się ukrywałem.

Pierwsze dwa dni to była stocznia; później zadyma na ulicach Gdańska, demonstracja przypominająca 1970 r. Na wykradzionym z PAX powielaczu szybko odbiliśmy dwa numery „Samorządności” i zajęliśmy się ich kolportażem. Potem uznaliśmy, że trzeba uruchomić w Gdańsku pismo, którego tu nie było: periodyk opozycyjny o zacięciu intelektualnym.

Spółdzielnia

Ja znalazłem drukarza, który się zobowiązał, że w chwilach przerwy między ulotkami wydrukowałby skromny nakład 400 egz. – taki wymyślił tytuł – „Przeglądu Politycznego”. W pierwszym numerze był wstępniak podpisany moim pierwszym pseudonimem, Anna Barycz, pt. „Okoliczności rewolucji liberalnej”. Były tam dwa czy trzy artykuły, które nie ukazały się w „Samorządności”. Zupełny miszmasz. Ale z gorącym przekonaniem – tak na wyrost – we wstępniaku pisałem, że jest potrzeba budowania formacji, środowiska, które dokona rewolucji liberalnej. Sporo zadęcia – bo w tej „formacji” było nas dokładnie dwóch (ja i Wojtek Duda) składających gazetkę na przeciwko rasowej pijackiej meliny.

Pierwszy numer „Przeglądu” wyszedł w marcu 1983 r., drugi późną wiosną, chyba w maju. Też nie najlepiej wydany. Jedynym znaczeniem pierwszego była, jak sądzę, motywacja dla nas dwóch, żeby zrobić numer

drugi. Z czasem w Gdańsku „Przegląd” stał się instytucją. Potem na kolegia redakcyjne zaczęliśmy zapraszać Krzysia Wyszковского; parę razy zjawiał się Paweł Śpiwak, Irek Krzemiński, Jadzia Staniszkis; Leszek Kaczyński namówił brata Jarka, żeby pisał do „Przeglądu”. Ten skład dzisiaj wygląda może egzotycznie, ale wówczas wszyscy myśleliśmy bardzo podobnie.

Wokół „Przeglądu Politycznego” zaczęło tworzyć się środowisko, taka mieszanka działaczy podziemia, pracowników naukowych, kolegów z NZS. Chyba w 1984 r. kilku chłopaków z NZS uparło się, żeby założyć spółdzielnię, wykorzystując nowelizację prawa spółdzielczego. Początkowo spółdzielnia „Gdańsk” była nastawiona głównie na prace studenckie typu mycie okien. Po pewnym czasie postanowili przekształcić ją w specjalistyczną spółdzielnię alpinistyczną do prac wysokościowych. Żeby tam dostać się do pracy, potrzebna była jednak rekomendacja podziemno-solidarnościowa. Bez wyjątku, bo taki był klucz.

Ja od dłuższego czasu chciałem iść do tej spółdzielni, ale moja żona gorąco przeciwko temu protestowała, jak każda kobieta, która w tamtej sytuacji nie miała żadnej stabilizacji: wizyty bezpieki,



Małgorzata i Donald Tuskowie
z synkiem Michałem, wiosna 1984 r.



Donald w czasie pracy w spółdzielni „Światlik”, lata 80. XX w.

zadamy, ciągły brak pieniędzy, mały syn, wynajęty pokój. [Donald i Małgorzata, para ze studiów, pobrali się w 1978 r., oboje mieli po 21 lat; ślub był cywilny, bo Donald nie miał bierzmowania; kościelny wzięli dyskretnie w 2005 r. Tuskwie pierwsze własne mieszkanie w Sopocie zdołali kupić na raty dopiero w 1993 r.]. Ja ją przekonywałem, że pieniądze zarobione w spółdzielni dadzą nam wreszcie jakąś stabilizację, i w końcu dała się przekonać. Trafiłem tam chyba w 1985 r.

Przy naszym sprzęcie (liny okrętowe, karabińczyki własnej roboty) wciąż ocieraliśmy się o katastrofę. Praca fizycznie katorżnicza, ale w sumie dająca poczucie siły. Dla faceta jest to istotne, że np. idzie się po pracy do piwiarni, siedzą tam same „zakapiory”, a tu wchodzi ekipa z Gdańska i nikt im nie podskoczy, bo to jest taka paka jak spadochroniarze, komandosi. To miało duże znaczenie w naszym życiu wtedy. Ryzyko i niebezpieczeństwo hartują psychikę. A ja niebezpieczeństwo przeżywałem naprawdę, bo szybko trafiłem do Rady Nadzorczej, specyfika zaś Rady Nadzorczej w tej spółdzielni polegała na tym, że jak była jakaś rozpoczęta praca i okazywała się dla innych fizycznie nie do zniesienia, to jechała w komplecie Rada Nadzorcza, żeby wykończyć. Tak było np. w elektrowni w Jaworznie: upiorne zlecenie, do dzisiaj jest ono legendą w naszych kręgach. Pod tyłkiem 40 m, przepaść, a na dole agregaty cały czas na chodzie. Temperatura 50–55 st., ciemno, pył i praca tylko w nocy. Mieszkanie w hotelu robotniczym. Taki hotel robotniczy z dykty, przy ulicy, gdzie były tylko nie do końca wyburzone rudery, poradnia zdrowia psychicznego dla górników i komisariat. Wokół pełno pijanych, ciągle rozróby, wizyty milicji.

Paryż

Ważnym momentem dla mnie, ale też po części dla „Przeglądu”, był mój wyjazd do Paryża w 1988 r. Tym, co Gosię, moją żonę przekonało ostatecznie do mojej pracy w spółdzielni alpinistycznej, było jej życiowe marzenie, które wówczas w Polsce wydawało się niewykonalne: pojechać do Paryża. Pieniądze na wyjazd zarobiłem szybko, paszport ku wielkiemu własnemu zdumieniu dostałem, bo to był już okres tej drugiej odwilży paszportowej (pierwszy przypadek na 1983 r., kiedy próbowano wysłać działaczy Solidarności na emigrację).

Pierwszy raz pojechałem na Zachód. Dla mnie była to rozkosz. I tak sobie myślę: Tusk, jesteś w tym Paryżu, depczesz po tym bruku, gadasz z facetem z emigracji o tym, co trzeba zrobić w Polsce, a w Polsce konspiracja. Wszystko jest! Czytanka się spełniła. I tę chwilę będę pamiętał do końca życia... Co istotniejsze, ja tam oczywiście usiłowałem zdobyć środki finansowe i materiały na „Przegląd”: duperele typu głowice IBM, kasety. Trafiłem do Giedroycia, do Chojeckiego, do wszystkich autorytetów

emigracyjnych i przeżyłem wielki negatywny szok. Wiozłem przez te wszystkie kordony celne numery „Przeglądu Politycznego”. Byłem przekonany, że jadę po swoje. Okazało się, że jestem oczywistym pariasem...

W Paryżu nikt nie czytał naszego „Przeglądu”, mimo że staraliśmy się wysłać wszystkie numery. Wiedzieliśmy, jak finansowane są inicjatywy warszawskie, tymczasem „Przegląd” przez cały okres istnienia otrzymał z zagranicy ze strony emigracji i fundacji międzynarodowych kwotę 500 dol. Przez całe 6 lat! To daje wyobrażenie. Tym bardziej że była to jedyna tego typu inicjatywa w Gdańsku. Fascynujące było zobaczyć Giedroycia, ale też miałem poczucie, że jest prawie niemożliwe, żeby się wbić w ten centralny nurt. Na mnie patrzyli trochę jak na faceta z buszu, który nieoczekiwanie melduje, że w ogóle istnieje... Wzbudziło to we mnie taką sportową zaciekłość. W Gdańsku, w środowisku intelektualnym, wyraźnie mówiło się o tym, że musimy pokazać, że jesteśmy, że coś robimy. To się rzeczywiście sprawdziło podczas strajków 1988 r.

Kongres Liberalów

Kiedy wybuchły strajki, myśmy poza stoczną i w stoczni zorganizowali strajkowe pismo „Rozwaga i Solidarność”. Drukowaliśmy od jednego do trzech wydań dziennie, w nakładzie 20, 40 tys. egzemplarzy. W ciągu kilkunastu godzin pismo trafiło do Szczecina, Stalowej Woli, Warszawy. Kilka drukarni podziemnych pracowało non stop. „Rozwaga i Solidarność” odegrała bardzo dużą rolę w Gdańsku, ponieważ pierwszy, majowy, strajk był niezwykle szczelnie, wręcz higienicznie zaplombowany przez ZOMO. W jednym z numerów jest mój tekst: opis kordonów ZOMO odcinających stocznię we wszystkich możliwych punktach od miasta, które chciało udawać, że tego strajku nie ma. I opis końca strajku: wychodzą ze stoczni, miasto zupełnie wymarłe, zmierzch i ten pochód w zupełnej ciszy idący ze śpiworami od stoczni do kościoła św. Brygidy. Nastrój niesamowity: terkot dziesiątek kamer, reflektory. Jadąc taksówką do redakcji, pisałem ten tekst i potem dyktowałem koledze, który na maszynie to przepisywał. I jak to później przeczytał, wszyscy ryknęliśmy płaczem. Ale później drugi obraz – sierpień 1988. Znowy wyjście ze stoczni, tym razem po zwycięstwie. Cały Gdańsk wiwatujący. Taka zbitka z trzech miesięcy, bardzo łapiąca za serce.

Kiedy się skończył strajk w sierpniu, mieliśmy przekonanie, niewynikające z jakiejś szczególnej politycznej przenikliwości, że to już wygrana, że reszta jest tylko kwestią czasu... I wtedy uznaliśmy, że tego kapitału organizacyjnego nie można rozproszyc. Ileś dni i tygodni rozmawialiśmy o tym. Nie wiem, w którym momencie pojawił się pomysł (chyba późną jesienią 1988 r.), żeby zorganizować kongres liberalów. To dowodzi, że od dłuższego czasu musieliśmy myśleć i mówić o sobie „liberałowie”.

Już w latach 1986–87 pojawiły się w „Przeglądzie” teksty o prywatyzacji, o decentralizacji, regionalizmie, o nowej konstytucji, o systemie prezydenckim. Te nasze pomysły przedstawiliśmy na pierwszym gdańskim Kongresie Liberalów w grudniu 1988 r. Przybyło ze 100 osób, działaczy podziemia, prywatnych przedsiębiorców, publicystów. Na ludziach, którzy nie byli z nami bezpośrednio związani, większość naszych tez budziła wręcz lekceważenie: jacyś młodzi ludzie mówią o czymś, co będzie w roku dwutysięcznym!

Nasz pierwszy premier

Być może jeszcze długo Kongres pozostawałby takim środowiskowo-kanapowym klubem politycznym, jakich wiele powstało po Okrągłym Stole i czerwcowych wyborach 1989 r., gdyby ►



Rozmowy koalicyjne w Urzędzie Rady Ministrów w Warszawie. Od lewej: Tadeusz Mazowiecki, Tomasz Bańkowski, Donald Tusk, 11 kwietnia 1992 r.

► w 1991 r. Wałęsa nie został prezydentem, a jeden z nas nieoczekiwanie – szefem rządu. *[Liberale nie uczestniczyli w obradach Okrągłego Stołu, z ich środowiska tylko Jacek Merkel i Jan Krzysztof Bielecki weszli do sejmu kontraktowego. Tusk – nie, chociaż wspominał, że w czasie tworzenia rządu Mazowieckiego: „pierwszy wskazał mnie jako ministra gospodarki morskiej Janusz Korwin-Mikke na łamach POLITYKI” (chodzi o ankietę tygodnika wśród różnych polityków powstających wtedy partii) – takie były czasy].*

Wałęsa jeszcze jako prezydent elekt powiedział w telewizji o swoich czterech kandydatach na premiera: Merkle, Bieleckim, Olszewskim, Kaczyńskim. Tak to mam w pamięci, że Krzysztof wtedy po raz pierwszy się o tym dowiedział, razem z kilkoma milionami ludzi przed telewizorami. Wiadomo było, że Wałęsa o jednym myśli w sposób intensywny: utrzymać politykę Balcerowicza. Z czterech kandydatów, bardzo bliskich wówczas Wałęsie, dwóch dawało znacznie większe gwarancje, że nie będzie zmiany: Merkel i Bielecki. Krzysztof wciąż był bardzo sceptyczny, chociaż w którymś momencie powiedział, że przecież całe życie opozycyjne jakoś pracował i pomagał Wałęsie. W końcu zdecydował się. A Wałęsa tak postawił sprawę: nie może być żadnego burdelu, od dziś do wyborów, żadnej rewolucji, żadnej partyjnej polityki.

Pamiętam rozmowę Krzysztofa z Jarkiem Kaczyńskim na temat obsady URM. Kaczyński mówił: ja robiłem wybory prezydenckie, ja spowodowałem, że Wałęsa został prezydentem, ja miałem być premierem. Wy, chłopaczki z Gdańska, z jednej klasy licealnej, wzięliście całą pulę, a ja żądam, bo mnie i mojej paczce należy się to, to i to... Były takie momenty w tej rozmowie, które dokładnie już wówczas pokazywały swoistą mentalność PC-towską! Ale Krzysztof twardo się postawił, PC rządu nie wzięło, co potem ściągnęło na Krzysztofa nienawiść Jarka.

To my, jako ta mała partia, pierwsi potem ryknęliśmy, że konieczne są wybory parlamentarne na wiosnę. Wtedy prawdopodobnie wygralibyśmy wybory

ze sporą przewagą nad pozostałymi partiami. Pierwsze badania, w których użyto nazwy Kongres Liberalno-Demokratyczny i nazwisko Bieleckiego, wskazywały 16-procentowe poparcie; Unia Demokratyczna miała 9 proc. I to daje wyobrażenie, jak wielkim atutem był dla nas Bielecki i jak to się potem rozmyło.

Myślę, że ta szansa, która była przed liberałami, została ostatecznie zmarnowana tuż po wyborach 1991 r. *[pierwsze całkowicie wolne wybory, w których do Sejmu weszło 29 komitetów, z tego 11 posiadało zaledwie po jednym posle].* KLD otrzymał tylko 8 proc. i 37 mandatów. Przeżywalismy goręcz porażki, chociaż publicznie demonstrowaliśmy zadowolenie. Ale najważniejsze było pytanie – co dalej? Ja byłem obsesyjnie przywiązany do koncepcji, aby powstała koalicja rządowa złożona z Unii Demokratycznej, PC i KLD, której naturalnym premierem byłby Bielecki, jako środek tego układu. Tylko że to ładnie na malunku wyglądało... Ale Kaczyński, który już był przeciwko Wałęsie i chciał odegrać się na Krzysztofie, kategorycznie obstawał przy Janie Olszewskim.

Kaczyńscy

Z Kaczyńskimi przyjaźniliśmy się od wielu lat. Lech był jednym z promotorów „Przeglądu Politycznego” i uczestnikiem naszych spotkań. Później pomagaliśmy im zakładać PC, bo przecież Kongres był początkowo zbiorowym uczestnikiem Porozumienia Centrum. Ich potwornie irytowało to, że my jesteśmy tacy trochę różni. Leszek Kaczyński zawsze mówił, że wścieka go, że ja mam taki fart. Jarek był absolutnie przekonany, że oni są inteligentniejsi, mądrzejsi, lepiej znają się na polityce, dużo więcej pracują, są bardziej patriotyczni. Wszystko robią od nas lepiej, a tu nam wychodzi, a im nic. To on wymyślił takie hasło, że Kongres to żadna partia, tylko klub taneczno-towarzyski.

Ta złość zaczęła się wtedy, kiedy Bielecki został premierem, bo oni, gdy Wałęsę wybrano na prezydenta, byli pewni, że wygrali Polskę dla siebie. W relacjach z Kongresem to się pogłębiło do granicy paranoi. Nie było takiej rzeczy w polityce, która nie wynikałaby z długotrwałego spisku: to znaczy, jeśli ja drapię się w głowę, ktoś to wykombinował i jest elementem jakiejś szerszej akcji. Nigdy im do głowy nie przychodziło, że 90 proc. faktów politycznych jest skutkiem przypadku, zaniechania, lenistwa, spontanicznego pomysłu, zbiegu okoliczności. Nie spisku.

Brałem potem udział we wszystkich możliwych przemyśleniach koalicyjnych. Krzysztof mówił: dziwni ludzie idą z Olszewskim, mają bardzo dziwaczne pomysły. No więc nie weszliśmy do tego rządu. Później zaczął się dramat samotności: duża, nadęta Unia z jednej strony; z drugiej strony pełen nienawiści rząd Olszewskiego, z trzeciej – mocno i nieprzejednanie obrażony Wałęsa za to, że Krzysztof mu bryknął. I tak sobie siedzieliśmy trzydziestu w tym parlamencie.

[Po upadku rządu Olszewskiego 4 czerwca 1992 r. KLD wszedł jeszcze do koalicji tworzącej rząd Hanny Suchockiej. Ten rząd upadł po 10 miesiącach. W wyborach 1993 r. Kongres wystartował samodzielnie, co Donald Tusk uznał potem za swój błąd, uzyskał 3,9 proc. głosów i nie przekroczył ustanowionego po raz pierwszy 5-procentowego progu. Rok później Kongres Liberalno-Demokratyczny został rozwiązany, a jego działacze weszli do nowo utworzonej Unii Wolności. Donald Tusk wrócił do Sejmu dopiero w 2001 r.]

Janina Paradowska, Jerzy Baczyński „Teczek liberałów”, Wydawnictwo Obserwator, Poznań 1993.

Za tydzień dalszy ciąg – już naszej własnej – opowieści o karierze politycznej i ideowej ewolucji Donalda Tuska.

